

Wias

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 30. IX. 1951 r.

Nr. 39 (321)

PIOTR CHMURA

WSRÓD CHŁOPÓW na DOŻYŃKACH w POZNANIU

rys. Stefan Gierowski

DWA słowa wstępu. Czytaliśmy wszyscy przemówienie Prezydenta Bieruta. Gazety opisały przebieg dożynek w Poznaniu. Ilustracje w pismach odstonowały widok na uspaniałoty obraz stu tysięcy chłopów, manifestujących w świecie urodzaju sojuszu robotniczo-chłopskiego. Ja pragnę dolożyć skromny przyczynek: niektóre rozmowy chłopów, w spotkaniach orszakowych i biwakowych. Com postyszał — zapisatem.

MICZURINOWIEC

Mijał się. Chłop był niski, w kamizeli i kapeluszu, który mu zasłaniał oczy i nos i byłbym go młynał w poszukiwaniu sławnych przodowników, gdyby nie ten kapelusz. Stroił go wokół kłosa pszenicznego. Ale jakie? Wystrząsał krzaczasto, po kilka z jednego żdźbła. Postężył to inni chłopci. Zważył się wokół nas tłum, posypał pytania: a dyć to radziecka pszenica! Byłście z wycieczką? A chłop spod kapelusza: — Nie byłem.

— Ale to radziecka, na pewno stamtąd — upewniał jeden z oglądających. — Sam widziałem takie kłosa u naszego sołtysa. Byłże on dwa lata temu na Ukrainie. Kiedy przyjechał do domu, choć to nad wieczorem, ludzie się zwiadzili i w te pędy. Ale żona: późno, mąż zmęczony, jutro wam opowie.

— Pewnie chcieli się naradzić? — wtrącił ktoś domyślnie.

— Jakbyście zgadli. Chłop się baby bał, siadł se na ławie, nie rozbił się, ino czeka na kazanie. A ona mu, w krótkości mówiąc: — Będiesz agitować, że tam dobrze?

— Będzie.

— Będiesz zachęcał do spółdzielni?

— Będzie.

Baba oniemiała, a potem w płacz.

— Jezuś kochany, a prosiam cię, nie wleż ludziom.

— Toteż ja nie ludziom, a ziemi wierzę, ziemia nie kłamie. I wydziały z walizki pszenicę krzaczastą. Wśród śmiechu, który na chwilę przerwał to opowiadanie, postyszyliśmy gniewny głos chłopca w kapeluszu.

— Głupi ten sołtys. Ludziom trzeba wierzyć, nie ziemi. Z'em'a jest w naszych rękach. Na ten przykład, pszenica, którą widziacie na moim kapeluszu, pochodzi z mojego pola.

— A skądżeście?

— Z bielskiego powiatu.

— Przodownik?

— Nie, miczurinowiec. W mojej wsi Grodziec mamy kółko miczurinowców.

— A w naszej wsi — odezwał się inny chłop — nie ma jeszcze miczurinowców, ale ochota już wielka. Nie powiem o spółdzielni, bo w naszych Bielskach pół wsi jest w kolektywie, tam urodzaj był dużo większy, ale nawet w gromadzie, prawie każdy już w te żniwa rachował ziarna w kłose. U mnie wypadło po 55 ziaren i synięło mi żyta 22 q z hektara.

— A w spółdzielni? — zainteresował się chłop w kapeluszu.

— Tam po 24 q żyta i 27 jęczmienia. A ile zebrali! 100 ton żyta i 250 jęczmienia.

— O widziacie, ziemia ta sama, a ludzie już inni.

— Jakże się nazywacie? — zawołał, widząc, że miczurinowiec zabiera się do odejścia.

— Grenia Karol... małorolny!

— Widzieliście, co za sztuka z tego Grenia? — podjął na nowo pierwszy chłop. — To tak jak z naszym sołtysiem — im lepszy robi się z niego agronom, tym większy polityk.

RATAJCZYK — MAZUR

Zdybałem samego Ratajczyka. Tego, który wezwał do współzawodnictwa Mazur, „mistrza urodzaju” i przewyższył go w produkcji buraka cukrowego. Mazur osiągnął w r. 1949 — 568 q z hektara, Ratajczyk w 50 roku — 627! Pojedynkę ów był tym ciekawsz, że toczył się w tym samym powiecie węgrowskim.

Zdybałem Ratajczyka, ale przede mną stał już korespondent „Chłopskiej Drogi”, a ledwie swoje skończył, Ratajczyka porwano na trybunę. Ulotnił się również korespondent. Dopiero teraz chłopom rozwiązały się języki. Rej zaczął wodzić znajomek i entuzjasta Ma-

zura. Otaczali go chłopci z Kieleckiego, Lubelskiego, Olsztyńskiego i Koszalińskiego.

— Ciekawy jestem, co ten dziennikarz napisze? Jeszcze zrobi z Ratajczyka prostaka. Bo uważacie, jak go pytał, gdzie się kryje tajemnica rekordu, Ratajczyk najpierw mu ze śmiechem pokazał spracowaną rękę, a potem szybko wyliczył: troska o uprawę gleby, właściwe nawożenie i stała opieka nad

Drugim teraz przykład. Chłopi się śmiali, że Mazur grucze i grucze swoje buraki. Co to koń, żeby go co dzień cesać? A tu szło o taką rzecz. Na 1 hektar buraka trzeba 55 tysięcy hektolitrow wody. Więc znów musisz manipulować. Deszcz naraz sztuka, gruczesz wtedy, aby spulchniona ziemia utrzymała wilgoć i nie dała się wysuszyć słońcu. Ta walka idzie na obliczenia. Mazur zapisywał ilość opadu każdorazowego większe-

dowla wymagają zbiorowego i zorganizowanego działania. To jest warunek dużej wydajności. A jeszcze mieć takiego Mazura albo Ratajczyka za kierownika toż to wtedy pod słońcem rośnie złota żyła dla wszystkich na wsi.

HEJ, MASZYNY!

Trafiliśmy na biwakującą gromadę. Nie był to jednak gnusny odpoczynek. Większość wprawdzie rozsiadła się wielkim kołem ale chórne okłaski i śmiechy kazały się domyślać mówców. Znam takie sytuacje. Zazwyczaj osiadał jeden temat, wokół niego opłatały gawędziarze swoje wspomnienia. Im ciekawszy dla słuchających temat, tym więcej chętnych do opowiadania.

— Ja to przez ten POM wdepnęłam do spółdzielni produkcyjnej — opowiadała tęga kobieta. — A było to tak. W tamtym roku nastał u nas w okolicy POM. Chłopi z wiosną uchwalili w trzy grupy umówić się na żniwa. Po orce i siewach wiosennych to i ja byłam chętna. Niech te zwierzaki maszynowe za nas zrobią. Ale jak przelecieli maj, czerwiec, krzyże mi odpoczęły to i myśli się odwróciła. Jeszcze nawet, mówiąc prawdę, traktora na oczy nie widziałam, a kulaki, bo się to POM-y dopiero pojawiły, zaczęły straszyć, że traktor ziemie gniecie, a snopowiązalka połowę ziarna wytrzępie. I co tu owijać w bawełnę, samam propagandę babką robiła, że obędzie się. Ale kiedy traktory przyjechały, znów mi się odmięknęło, bo tak przedkładały nigdy nie widziałam jeszcze. Na czele bab poszłam do POM-u prosić gozecznie. Dobrze — powiadają — ale mamy plan, obliczymy możliwości, czyli że za kilka dni. Dałabym się zbyć, ale stysze, że do spółdzielni w Wysokiej wysyłają na noc traktory. Jak tam możecie to i do nas dajcie na noc. A kierownik mówi do mnie tak: tam jest jedno, duże pole, a u was po ciemku trudno nawracać na małych działkach, jak omijać brudzi i miedze, co?

Wreszcie przyjechali. Powstała wrzawa, bo każdy chciał, aby od jego pola zaczynać. Traktorów było trzy. Traktorzysta, przydzielony do naszej grupy, zapalił se papierosa i słucha, jak my się wadzimy o kolejność, wreszcie odzywa się do mnie, bom najgłośniejszy krzyczałam.

— Dutkowa — zaczne od was, a co wy będziecie robić cały dzień?

— Snopki układac.

— A dacie radę.

— Nie dam dziś, to jutro skończę.

— A co oni będą robić?

— A z rękami w portkach czekać do wieczora — zawołał kłortys.

— To ja wam dam radę. Obiecuje

straszenie błądy. Dopiero wtedy przyuważała, że to jeszcze dzieciak.

— Podobają wam się — pyta na odjeździe.

— A owszem, pięknie dziękujemy.

— A wiecie, co wam się spodobało? Spółdzielnia produkcyjna I-szego typu. Tak samo się w niej pracuje, jak wycie dzisiaj. Do widzenia!

A to agitator. Na innych grupach też się ludziskom spodobało. I jesienią założyliśmy spółdzielnię I-go stopnia.

— A ja znów miałam takie wydarzenie — zaczął pewien chłop. — Idę drogą a tu jedzie parobek kulaka Czaplę z Domaniewic. Przysiadłem się i zagaduję — dokąd?

— Wiozę list, mój gospodarz nie pozyczy POM-owi — żniwiarki.

— A wiesz ty, co to POM?

— No, maszyn, znaczcie się.

— A widziałeś je?

— Chyba, widziołem.

Wjeżdżamy na poligon POM-u. Były to ostatnie dni przed żniwami. Akurat robiono przegląd maszyn. Wszystkie 60 traktorów i snopowiązalek w rozwiniętym szyku były na biegu.

Mój parobek, jak nie ściągnie konie,

— Rety, wojna, cy co? I dawaj zawracać. Siłą musiałem konie i jego

żal, żeśmy nie sprowadzili traktora, tylko konną żniwiarkę. Ale POM jeszcze daleko. Było zebranie — powiedzieliśmy: o Hucie Częstochowa słyszeliście? No to widziacie, będzie w przyszłym roku więcej traktorów, i nie tylko traktorów. O Gorzowie, Włocławku, Andrychowie itd. słyszeliście? Będzie więcej nawozów, elektryczności i wszystkiego, co potrzeba, aby polepszyć naszą pracę i wydajność. Zrobił się ruch na wsi. Chłopi chcą się w bloki, powiadają, prędzej nam przysła traktor.

— A to tak, jak u nas w Porąbce — wtrącił się inny chłop — u nas są dwie kopalnie w pobliżu. I bar-dziej jesteśmy górnikami niż rolnikami, bo mamy od 1 — 3 ha. Ale są też zalane łaki. Razem byłoby ze 700 ha pod gospodarkę orną i hodowlaną. Diabli nas biorą, bo traktorem nie można orać na pascachach po 15 m szerokości, a takie u nas zagony. Chcemy spółdzielni produkcyjnej, ale nie ma takiego statutu. 100 dniówek nie może z nas nikt dać, bo pracujemy w kopalniach, ale jest rezerwa energii, który by wystarczył na porządną obróbkę i hodowlę tych 700 ha. Wysyłamy pisma, może się znajdzie na nas sposób. Wszak teraz coraz więcej jest takich wsi, skąd chłopci chodzą do fabryk, hut i przemysłu, O, weźcie na przykład Wierchosławicę, stamtąd 80 proc,

chłopów jeździ do Chorzowa, Tarnowa i Mościc, spółdzielnie produkcyjną założyli średniaki, a co z tymi chłopami — robotnikami?

— Jak tak myśleć — odezwał się poważnie wyglądający gospodarz, — że nas w pierwszych latach ciągnęło jeszcze na „wolny rynek”. Jeszcze po staremu chcieliśmy produkować i handlować równocześnie. Potem, jak się chłopci poznali na Mikołajczyku, pamiętacie, była bitwa o handel u-spodzielczony. Państwowe i spółdzielcze sklepy pogłębiły nasz sojus robotniczo — chłopski. Na tej drodze walczyliśmy ze spekulacją w mieście i na wsi. Ale stare nalogi, jeszcze w nas pozostały, jeszcześmy dobrze nie rozumieli, że jak zbierzemy plony to w państwie ludo wym, w sojuszu robotniczo — chłopskim nie ma potrzeby handlować, ale po prostu sprzedajemy państwu, czyli w ten sposób robotnikowi i miastu. No i macie te nawyki, cały rok przeciągał się skup zboża z 49 roku, pół roku trwał z ubiegłych zbiorów, a przecie ceny były już stale i opłacalne.

— Dobrze mówicie — podjął głowny mówca. — Mimo, że wzmógł się handel u-spodzielczony, chłop w spół-

(Dokończenie na str. 2)



rośliną w okresie jej wzrostu. A dziennikarz pyta: to wszystko?

Pewnie, że to wszystko, ale co to znaczy, niech ten dziennikarz pomyśli. Ja znam Mazur, jego pracę. Jeśli go Ratajczyk pokonał, to nie ręką ale głową. A Mazur ma głowę nie od parady. Po pierwsze to nie zwyczajny chłop. Widać, że za młodu był robotnikiem w pobliskiej kopalni soli, w Wapnie. Po drugie, w książkach to on zawsze szukał nie tylko zabawy ale nauki.

Wy myślicie, że Mazur sterczy tylko na swoim poletku buraczanym? Gdzie tam. On przecież jest sołtysiem w Podolinie, on już w 47 r. parł do tego, aby w obu sąsiednich gminach Wapno i Domaniewic założyć spółdzielnię samopomocową. A jak się cieszył kiedy w lipcu 48 r. łącząc się „Rolnik”, który miał cholerne obroty, ze spółdzielnią gminną, a jak się cieszył, kiedy powstał SOM i osiem jego osódeków na gminie. On w tym wszystkim brał udział. On dopilnował założenia jednolitego bloku nasiennego „Cryginał” na terenie gromad domasławskiej gminy. Pytacie, do czego zmierzam? A do tego, że Mazur słuszenie uważał — chcąc poświecić należyta uwagę pracy w polu — zabezpieczając spółdzielczość samopomocową, aby wszelkie twoje potrzeby społeczne i gospodarcze były zaspokojone.

To jeszcze nie wszystko. Mazur to nie żaden maniak i oryginał. Pójsz z burakami, naprzód, rozumiał — pójsz razem z gromadą. Podnosić wydajność razem z podnosze niem się współzawodnictwa w gromadzie. Wicie, jak to dawniej bywało, jak chłop przyjmował jakąś nowość, to nie dlatego, że ją rozumiał, ale widząc lepsze wyniki, pytał co zastosowano. I potem gładził z namaszczeniem: tak trzeba. A dlaczego tak trzeba? Najczęściej nie wiedział. Mazur wciągnął całą wieś do uprawy buraka. A jest tam takich pięciu gospodarzy, co w wynikach tylko o krok ustępują Mazurowi. Wicie dlaczego? Bo tam nie „szablone” idzie robota.

Co niedziela mają zebrania, przychodzą plantatorzy nawet z innych wsi. Uczą się jak najdokładniej poznawać życie buraka cukrowego. Bez tego szablonem „tak trzeba”, można się jak dyzłem nadziać. Nie wierzyli, że Olsztyńskiego i... Koszalińskiego, z szarfami jak się patrzy. Pewnie to Szulecki i Kulpa, zgadzam? Zgadłem. No to macie ręczycieli, czy dobrze mówię. Dam wam dwa przykłady. Mazur nawiózł potas w kwieciu, choć zasadniczo potas sieje się w końcu lutego i na początku marca. Dlaczego tak zrobić? Bo tak wycenił swoją glebę i nasz klimat. A siat buraki w maju, czyli że znów strzymał, aż u nas ziemia miała 14 stopni ciepła. A przecież każdy dzień opóźnienia siewu obniża plon o 3 q korzenia. Tak to trzeba regulować.

go deszczu i stopień parowania. To robota nie „na oko”.

Teraz chłopci patrzyli wyczekująco na przodowników w szarfach. Ci skinęli głowami, a Szulecki z Olsztyńskiego zabrał głos.

— O Mazurze to i ja czytałem. Warto dodać, że on dwa kursy przeszedł w Poznaniu i że robotnicy założyli w Podolinie elektryczność. Burak wymaga książek, czyli światła na wieczór. A jedna książka ciągnie do drugiej. U nas to się zaczęło od gazet i listów. Ludzie przybyli z różnych stron kraju to i mieli konieczność pisywania do rodziny. A o czym ze pisali? Jak idzie w gospodarce. To była ciekawa szkoła, bo zmuszała do całościowej oceny własnej i rodziny gospodarki. Nasza wymagała wzajemnej pomocy. Byliśmy sobie na początku obcy ale nie było ustalonych przegród, jak na starej wsi, ludzie ciekawili się wzajemnie. U nas w Olsztyńskim ziemia ciężka, potrzebuje na średniackiej gospodarce dwóch koni. Jak je zbliżasz? Bydłem i trzodą chlewną. Teraz mam po 2 krowy, jałowkę i dużo świń. Właśnie dlatego produkuję na powiecie w dwu hodowlach: buraka i trzody chlewnej. Wzmocnienie u nas były warunki na wspólne życie gromady i dało się je wykorzystać na jeszcze pełniejsze zorganizowanie gromady. Idzie nie o to, aby z 20-tu, czy 30-tu

gospodarzy kontraktujących, każdy sobie hodował, ale żeby grupa hodowała. Bo pomyślcie, jeden dobry pomysł nie zabezpiecza całego procesu hodowli, ale dziesięć, dwadzieścia pomysłów na pewno. A tu jeszcze dochodzi część roboty organizacyjnej: nawozy, węgiel, maszyny, otręby, pasza, umowy, dostawy itd.

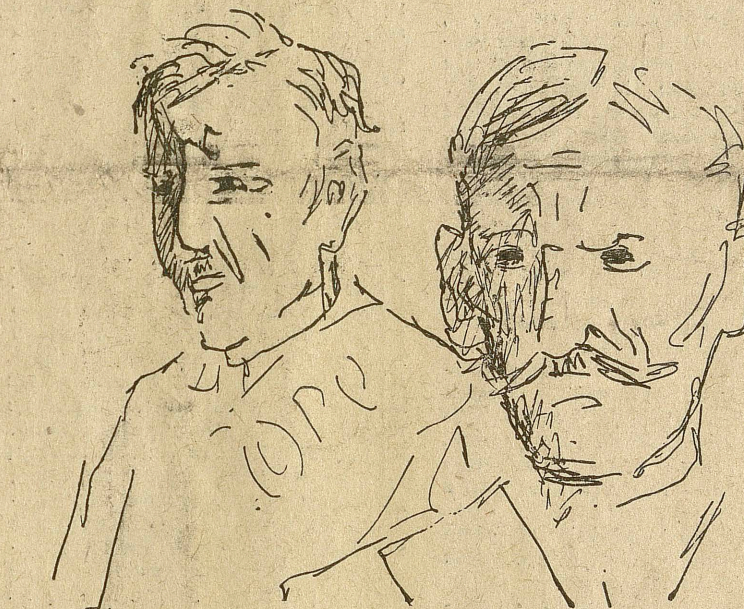
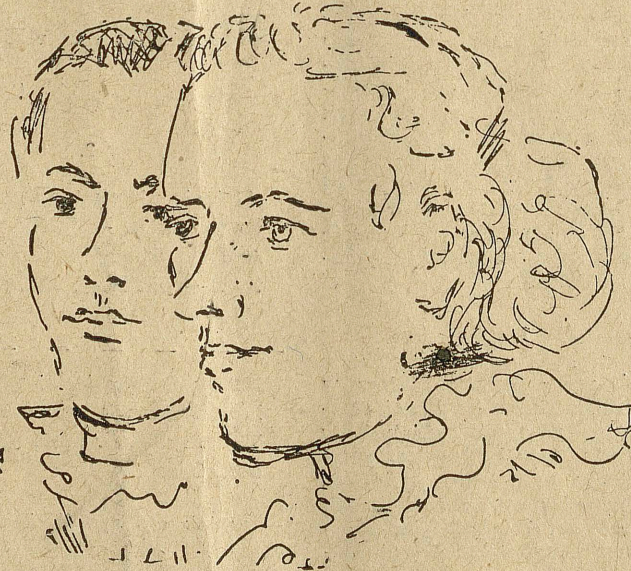
Myśmy po żniwach skrytykowali plantatorów buraka z Tomaszówki. Mieli suszę i należało im dopilnować ulg w skupie zboża i podatku, a jak wieś posyłająca, że w gminie wydają kontraktorem cukier przez kilka dni każdy jeździł osobno po cukier. Takie mieli zajęcia, bo gmina daleko o 17 km, na ostatek okazało się, że nie tam wydają cukier. Co to za grupa? Jeden by przywiózł dla wszystkich i koniec. Plantacja i ho-

do wieczora wszystko zżąć. Wy się na tem nie znacie: 9 ha to poważny rekord. Chcę go dla was osiągnąć. Będzie wyglądał pod wieczór tak, że mnie pożałujecie. Ale ja siebie nie żałuję, a wy?

— Co my? Gadaj, jakis taki honorowy.

— A wy, jak was tu ze trzydzięści, stancieć ze mną do zawodów. Wszyscy za traktorem z pola na pole stawiać snopki. Do wieczora i ja i wy będziemy gotowi.

Wieczorem żyto stało w mędlach. Myśmy się bardzo nie namęczyli, a wesołości podczas dnia było co nie-miara, bo się i gadało w robocie a to z tym a to z gątami i śpiewało i cieszyło, że skłędnie wszystko idzie. Ale traktorzysta był rzeczywiście





WSRÓD CHŁOPÓW

(Dokończenie ze str. 1)

dzielni gminnej jeszcze widzieli przede wszystkim towary osobistego użytku. Tyle od robotników. A jeszcze nie łączyli razem drugiego ramienia sojuszu — na produkcję. Czytaliście dziś na transparentach, że mamy już 5 milionów umów kontraktacyjnych, tzn. 6 razy więcej niż w r. 1947, kiedyś pobili Mikołajczyka, agenta anglo-amerykańskich zakusów na ujarznienie naszego narodu i wyzwolenie przez rewolucję dopiero co chłopów.

Kontrakcje obejmują przecież najbardziej dochodową produkcję: wysokokwalifikowane zboża, przemysłowe i hodowlane. A jakże te kontrakcje rosłyby, gdyby nie pomoc klasy robotniczej w maszynach, nawozach, nasionach, elektryfikacji, agronomii, uświadamianiu politycznym i nieustannej walce klasowej z wyzyskiwaczami i spekulantami? Więc, gdyby nie pomoc w produkcji? Zaczął się zatem sojusz na „metali”. I ten metal kieruje i organizuje naszą produkcję. Jak coraz mocniej rozwijają się PGR-y, jakie sukcesy mają już spółdzielnie produkcyjne, no i jak podrosta produkcja u małych i średniorolnych?

— Jeśli idzie o średniaka — wtrącił jakiś chłop — to on wchodzi w kontraktację na całego.

— A wejdzie jeszcze bardziej, skoro widziacie, że w tym roku z nowych kombinatów rusza już nowa produkcja przemysłowa i to potokowo.

— Ale także samo znaczy tu i opłacalność — dopowiedział ktoś z boku.

— A tak, na to właśnie chciałem zwrócić uwagę. Co się w tym roku po żniwach pokazało?

Nie oderwie już chłop skupu zboża od kontraktacji, od przemyślowych roślin i hodowli. Bo kto kontraktuje, ma ulgi w skupie, a pomoc w produkcji, kto kontraktuje — ma ulgi na plantacji i hodowli, jak wiece, w dostawie węgla, kredytów i zmniejszeniu podatku gruntowego, a w podatku gruntowym nadto niezaliczanie dochodowości i wiele innych ulg. To co to razem znaczy?

— Aha rozumie, kontraktacja od początku jest umową i na produkcję i na zbytni. A że jest umową z państwem, to ona toruje drogę uświadomieniu, że jedna jest sprzedaż dla chłopów — obywatela — państwa.

— Ano właśnie. Za nami jest bitwa o skup zboża w ubiegłym roku, która pokazała chłopom: ile ma kula, ile chowa na spekulację, pokazała, ile my wszyscy mamy. Za nami jest sukces solidnie rozwiniętej produkcji kontraktacyjnej, sukcesy PGR-ów, spółdzielni i POM-ów. Przed nami rozszerzona fala produkcji przemysłowej z kombinatów.

Na tych trzech podstawach rząd ludowy w tym roku przez liczne ulgi i premie za sprzedaż ponad plan i umowę chyba do reszty przekonał chłopów, że w socjalistycznym narodzie państwo jest jedynym w gruncie rzeczy odbiorcą produktów rolnych, skoro ono w imieniu klasy robotniczej i całego narodu zamawia produkcję rolną, określa stopień potrzebnego dla całego społeczeństwa jej wzrostu i ono swoją siłą polityczną i ekonomiczną wymaga rozwój produkcji pracującego chłopstwa.

ZA „KRZEWICIELAMI PRZODUJĄCYCH METOD”

Słyszeliście, co mówił nasz Prezydent, że „krzewicielami przodujących metod gospodarki są i będą coraz liczniej te spółdzielnie produkcyjne, które potrafiły... wykazać swymi osiągnięciami rzeczywistość przewagę zespolonego gospodarowania nad gospodarką indywidualną”.

— Ech, wy od zboża, buraków i przemysłowych! Z PGR-u wzięliśmy nasion selekcyjne, z POM-ów maszyny, ze spółdzielni gminnej — nawozy i uszy po sobie, co? Mamy jeszcze

czas, mówicie i grzejecie się na piecu?

— A wy świnio pasy i krowiarze biegiem lećcie do spółdzielni!

— W tym sęk, że biegiem jeszcze nie lećcie, a rozum wskazuje, że należałoby. Hodujemy krowy i świnie niby wszyscy. Ale jak? Powiedzmy sobie uczciwie, że zboża są u nas na planie pierwszym, a hodowlę i podstawę żywienia pogłowia traktujemy — w produkcji — na drugim planie, choć zyski to mamy nawyk ciągnąć w pierwszym rzędzie z hodowli.

— Jak my produkujemy zboże, to nam brak pasze. Ale się też o nie dopominamy.

— Właśnie, oto czwarta rzecz, którą chcielibyście, aby was obsłużył socjalizm, POM, PGR, spółdzielnia gminna i motozbyt pasz a wy w srodeczku po staremu na swoim, co?

— A co wy mądrzejście wymyślicie?

— No, my na księżyc nie lećmy, jak wy, krzykacze. Paszę trzeba produkować, plantować i hodować. To my już rozumiemy.

— A co jeszcze?

— To, czego wy nie rozumiecie. Nasze było nizinne stanowi „plastyczny materiał”, ono może lekko produkować o 200% więcej mleka, a Plan 6-letni zakłada zwiększyć tylko o 102%. Nasze czerwone, polskie też mogłoby się potężnie zdźwignąć, choć nazywane było „chlopskim bydem”, bo jak mówili panowie: „chłop musi mieć krowę małą, odporną na nędzę, jak on sam, taką, która może wegetować na niewystarczającym zagonie i poniżej warunków dla ras wyższych”. To jest krowa podgórska, ale wy i z nizinnego robicie habetę na własnym zagonie.

Nasz kierunek hodowlany trzody chlewniej jest analogiczny, jak w Związku Radzieckim i dlatego duże możemy mieć korzyści — ale i dla bydła i trzody bazy paszowej należy potraktować tak, jak się traktuje rośliny przemysłowe. I my, hodowcy dobrze to już rozumiemy. Więcej, my widzimy, że nadchodzi czas na poważny krok naprzód.

— No to może od was będziemy brać paszę? Co?

— A niech was diabli! Paszę produkować muszą wszyscy, ale nie po staremu. I dlatego spółdzielnie produkcyjne „krzewią przodujące metody” i pod tym względem. Porachujcie. Na indywidualnym gospodarstwie ile dajecie przestrzni na paszę? 5%. A w spółdzielni mogą dać 15 — 20%. I taką przeprowadzić nowoczesną plantację, że hej. Byłem w jednej spółdzielni, gdzie się zebrały same bidoki, 20, ziemi 67 ha, ale 22 krowy! To kiedym usłyszał na zarządzie, że oborowy chce się rzec tego stanowiska, bo mu za ciężko i proponuje, aby co 2 tygodnie zmieniał się „oplekun” nad krowami, to choć jeszcze nie spółdzielca, ale taką tam zrobiłem awanturę, jak nigdy w życiu. Pokazało się, że oborowy wszedł do spółdzielni właśnie z zamiłowaniem do hodowli, ale ten był parobek pracował na wycucie a zarząd „zbożowców” nie pomyślał, że tu kurs potrzebny i podręczniki. Ale spółdzielnie wcześniej, czy później będą stosowały oświecone, naukowe metody pracy.

Dzisiaj na defiladzie widziałem przodowników hodowli świń, Gołobrowskiego z woj. bydgoskiego, który zakontraktował 26 tuczników i Węgrzyzna z woj. krakowskiego, kierownika grupy hodowców trzody chlewniej. Później z nimi gadałem. Marnuje się nasza umiejętność — mówili mi — być hodowcą na PGR-ze, jak sławny tow. Sosnowski, to satysfakcja albo w spółdzielni produkcyjnej. Wtedy dopiero jest pożytek społeczny, wtedy rośnie produkcja dla narodu, wtedy sojusz robotniczo-chłopski sięga szczytu.

Piotr Chmura

LESZEK HERDEGEN

POECI DOBRZY I RÓŻNI¹⁾

Mam przed sobą osiem książek poetów, którzy debiutowali już po wojnie. Jak już wspominałem w pierwszej części niniejszego artykułu²⁾ tomiki te są podsumowaniem bardzo ważnego etapu w twórczości ich autorów. Są świadectwem wyzwalania się poetów średniego (już nie najmłodszego) pokolenia z błędów i obciążań zarejestrowanych w książkach debiutujących. Andrzej Braun, Jan Maria Głogus, Jan Koprowski, Tadeusz Kubiak, Artur Międzyrzeczki, Jerzy Miller, Tadeusz Różewicz, Witold Wirsza — to poeci mający za sobą spory już okres pracy twórczej, poeci, którzy wprawdzie wydali już nieraz po kilka książek (Kubiak, Różewicz), jednak jeszcze w pełni artystycznie nie ukształtowani. Debiutowali oni przeważnie w latach 1945, 1946, 1947 — w okresie ekspansji obcych nam tendencji literatury zachodnio-europejskiej i nawrotu kierunków polskiej literatury burżuazyjnej dwudziestolecia, reprezentując wtedy postawę tzw. „postępowej inteligencji”. Droga ich do poezji prawdziwie politycznej, bojowej i partyjnej (jeszcze nie zakończona) długotrwała i skomplikowana, bardzo różnorodne rezultaty słusznych zamierzeń poetów — wymagają dokładnej analizy.

TRUDNY WARSZTAT

Twórczość Jana Koprowskiego, Jerzego Millera i Artura Międzyrzecznego uległa w krótkim czasie tak poważnym przemianom, że musi nieść obecnie cechy pośpiechu i niedopracowania. Obruszają się na pewne łatwizny i potknięcia artystyczne tych poetów, nie zapominając, że rozpoczęli oni pracę twórczą na zupełnie innych poziomach ideowo-artystycznych, że ich debiuty były wyrazem obcego nam światopoglądu. I tak, jak w pierwszym tomiku Millera „Pieśni inwalidzkie” — brak skonkretyzowanej postawy ideowo-politycznej prowadzi poetę do separacji i roli biernego obserwatora rzeczywistości, co pociągało za sobą nierealistyczne, od Maxa Jacoba Apollinara i nadrealistów przejęte środki poetyckie — tak tomik Międzyrzecznego „Strony przydrożne” (Paryż, 1949) był smutnym pamiętnikiem zagubionego w gromie wojny walczącego na Zachodzie żołnierza. U Międzyrzecznego z kolei odezwał się Rimbaud. Nie chodzi tu o śledzenie „wpływologii”. Chodzi o przypomnienie dobrej nam znanego zjawiska, którego twórczość tych poetów jest jeszcze jednym potwierdzeniem: brak aktywnej postawy wobec rzeczywistości nie pozwalał poeci organizować swych środków artystycznych po linii komunikatywności i funkcji społecznej wiersza, nie pozwalała na stworzenie jednolitej formy i treści.

Rodowód Jana Koprowskiego jest nieco odmienny. W swym pierwszym tomiku „Poezje dla ciebie” (Goslar, 1945) Koprowski ograniczył się do tematyki miłosnej, przy czym liryka jego była ciekawa i sentymentalna, bardzo egotyczna, sposoby poetyckie łatwe i niewyszukane. W jednym z wierszy poeta zapowiadał wprawdzie powrót do kraju i „szukanie prostego człowieka”, jednak w całości jego książka posiadała znikomą wartość społeczną.

Wszyscy trzech poeci stanęli obecnie na nowych pozycjach ideowych i artystycznych, przemysłili zasadę partyjności poezji, wyraźnego nastawienia politycznego. Jednak uczynili to nieodkrytym. Zapomnieli (oczywiście nie wszyscy w jednakowym stopniu), że poezja realizmu socjalistycznego nie tylko nie wyklucza, a przeciwnie postuluje — ciekawą, świeżą, związaną z treścią formę. Błąd ten, jak już wspominałem, jest uzasadniony. Nastąpił zbyt gwałtowny zwrot w świadomości ideowo-politycznej naszych trzech poetów, aby przemiany zachodzące w warsztacie twórczym mogły im nadążyć i przebiegać równolegle.

Podjęcie przez Jerzego Millera w jego ostatnim tomie³⁾ nowej, bliższej nam problematyki jest w stosunku do tematyki jego dawnych wierszy poważnym postępem.

Strajki dokerów we Francji, walka klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych, wojna na Korei, budownictwo komunizmu w Związku Radzieckim, współzawodnictwo pracy — oto zagadnienia, które stały się obecnie osią zainteresowań poetyckich Jerzego Millera. Wydaje się jednak, że zbyt mało uwagi poświęca sprawom naszego kraju, codziennym troskom i radościom ludzi polskich miast i wsi. Podejmowanie tych wielkich tematów pociąga za sobą często pewną ogólnikowość i schematyczność poetyckiej ujęcia. Wielkie tematy nie zwalniają z obowiązku wielkiego wysiłku ze strony poety w kierunku jak najwyższej jakości utworu. Przeciwnie — wymagają jeszcze większej troskliwości niż tzw. „zwykłe”. W związku z tym trudno zgodzić się z niektórymi utworami Millera („Wolni Francuzi”, „Amsterdam”, „Z pieśni o Stalinie”,

„Poemat o zwycięstwie”), nacechowanymi sloganowością i ubóstwem poetyckiego wyrazu:

„Bandy żandarmów
były chlebem
i solą zwycięstw.
Jedyna wartość
w nadziei.
W nadziei życia!”
(„Poemat o zwycięstwie”)

Cytowany „Poemat o zwycięstwie” stanowi pewien specjalny gatunek poetycki bardzo chętnie, choć rzadko właściwie uprawiany przez wielu naszych młodych poetów. Jest nim tzw. „poemat polityczny”, który jest zwykłym bardzo obszernym, a nie mającym charakteru epickiego, zbudowany jest z szeregu luźnych fragmentów lirycznych, które wiąże wspólny temat lub idea. Poematy te przeważnie nie syntetyzują ale zwiężają procesy historyczne, operują formułkami, werbalizmem i sloganami, pozbawione są materiału obrazowego. (Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie atakuję samego rodzaju poetyckiego — atakuję nieudane poematy. O tym, że gatunek ten można doprowadzić do doskonałości świadczy choćby genialna „Komuna Paryska” Broniewskiego).

W „Poemacie o zwycięstwie” Miller próbuje przedstawić ideową rolę Związku Radzieckiego w walkach klasy robotniczej całego świata, zwycięstwo i jego doniosłość nad faszystowskimi Niemcami, znaczenie tego zwycięstwa dla całej ludzkości, narodzin przyjaźni polsko-radzieckiej i in. Tak szeroka problematyka utworu musi doprowadzić w końcu do ogólników i dość banalnych haseł.

„Aż przemówił żelazem front
tysiącami ton dziennie stali,
aż przemówił nadzieją front,
aż: — Na wroga! rozkazał Stalin.

Albo:

Nie pozwolili
praw ojczystych pogrześć,
ani wolności
nienawiścią zatłuc.”

W tomiku znajdziemy wiele miejsc „puczonych”, dostrzeżemy wiele potknięć warsztatowych, których jaskrawym przykładem jest łamanie zdania dla uzyskania regularności rytmicznej strofów:

„Nie żyło. Chłopka podniosła
je z ziemi.”
(„Bitwa o Pohang”)

Przed Jerzym Millerem stoi trudne i odpowiedzialne zadanie wypracowania nowego artystycznego kształtu, nowej formy, która służyć będzie i bliższym nam treści jego poezji i w sposób ciekawy i artystyczny wiele wartościowość. Za pracę tę uwiecznia pomyślnie rezultaty pozwalają wierzyć, że niektóre dziełko wiersze („Nowe Bałuty”, „Wiktoria Markiewicz”, „Onowienie o powstaniu znak rzeki Buk-Han”) odznaczające się prawdziwą prostotą i oryginalnym, jasnym obrazowaniem. Oto cytuję na poparcie powyższego sądu:

„Przez kurz przedmieści,
srodmieście siatke,
w czystym oparze mgieł
przedrannych,
uwalnia miasto już na zawsze
żołnierz broczący sił ostatkami.
Pod sztandar krwią czerwonej
barwy
wpływa olbrzymia woda
Jang-tse’
(„Szanghaj”)

2.

„Pytacie nieraz towarzyszu,
co to poezja — jakby w śpiewie.
A co ja dzisiaj wam odpiszę,
tego — jak Boga Kocham —
nie wiem.

Poezja zawsze jest i wszędzie
lecz diabli wiedzą co to ona.
Wiem tylko, że mnie gna i pędzi
nienasycona.”

— w ten oto sposób Jan Koprowski⁴⁾ komentuje swoją pracę twórczą w wierszu „Odpowiedź na zapytanie: co to jest poezja?”. I rzeczywiście, nie mia się wiele ze stałym faktycznym. Żywiłowa i bezpośrednia jego poezja — ainteletualna i beztroška — jest żywą ilustracją cytowanego utworu. Prawde mówiąc, analiza błędów i zalet książki Koprowskiego jest bezcelowa, bo z chwilą, kiedy sam poeta stwierdza „diabli wiedzą co to jest poezja” i że go „gna nienasycona” — to trudno jego wiersze oceniać jako świadome tworzone dzieła, mające określoną funkcję społeczną. Lecz porzućmy żarty. Twórczość Koprowskiego jest na ile bliższą produkcji poetyckiej zjawiskiem bardzo zmiennym: jest przykładem jaskrawego lekceważenia rygorów formalnych, zaniedbania czułości w stosunku do każde-

go napisanego słowa. Z drugiej zaś strony konieczność intelektualnej, myślowej — nie tylko emocjonalnej — oceny opisywanych przez poetów zjawisk, przy zachowaniu całej bezpośredniości i prostoty — staje się nieraz niezbędna.

Lektura tomiku Koprowskiego towarzyszy wrażenie o jakiejś wielkiej radości ogarniającej cały świat, który żyje w nadziei i spokoju pod promieniami nigdy nie gasnącego słońca. Beztroški optymizm wierszy Koprowskiego (przejęty od poetów wczesnego Skamandra) działa demobilizując w chwili, gdy obóz imperializmu zagraża pokojowi, w w chwili, kiedy walka klasowa przebiega przez każdy odcinek naszego życia politycznego i gospodarczego. Dlatego wypadnie zaatakować poemat „Nowa ziemia”, który sumując przemiany dokonane przez nas na wsi pomija walkę klasową — źródło i stały czynnik motoryczny naszych zwycięstw.

„Ty wiesz, że za ścianą
u sąsiadów
tacy sami chłopcy i światło.
Więc idziesz spokojny do łóżka
zapadając w sen
jak w żyto
i na białych jak lodzie

poduszkach
dopływasz do brzegów świtu.
Spisz bez trwogi,
bo wiesz:
jutro, pojutrze i zawsze
nasze słone i nasza ziemia.

W twoje oczy codziennie patrzy
rewolucja.”

Uwagi powyższe dotyczą niemal wszystkich wierszy Koprowskiego podejmujących jakiekolwiek tematy z naszego życia. Powierzliwość społecznej analizy prowadzi w końcu do tak nieprzemysłanych ujęć, jak przyrównywanie czerwieni liści kłonu do barwy walczącej klasy robotniczej („Czerwony kłon”), lub zupełnie niepoważnych sprostowań w rodzaju:

„Czyż mógł tego nie zauważyć,
że na murach coraz mniej
klepsydry?
Że uśmiechów coraz więcej na
twarzy,
i że ciekł coraz mądrzej,
lepszy?

My nie mamy czasu umierać
(nasze dzieje nie znają śmierci).
Nam budować, budować teraz —
źródło siły bije nam w pierś.”
(„Warszawa żywych”)

Wydaje się, że korzeni tych niedomagań w ideologicznej interpretacji zjawisk społecznych szukać trzeba w zbyt ogólnikowym traktowaniu tematu. Poeta jest pełen najlepszych chęci, pragnie aby wiersz był jak najbardziej społecznie aktywny — jednak brak przemyslenia opisywanych zagadnień, brak czułości w operowaniu środkami poetyckimi powoduje często zupełne zagubienie ważności tematu (np. „Lenin w Poroninie”, „Petycja dziecięca” — wiersz ograniczający się do próby o zachowanie pokoju, skierowanej nie wiadomo do kogo).

Język artystyczny Koprowskiego nasunął mi wiele zastrzeżeń. Poimając już dziwne metafory w rodzaju „nasze domy — głądzące kwoki” lub „wzduże żagle wymion” — jednak bezwzględnie trzeba zakwestionować poetyckie spojrzenie Koprowskiego, gdy pisząc o listonoszu wiejskim, mówi:

„Twoja torba to nie jest torba.
To jest oddech ziemi i wiersz.
W niej i radość i miłość i groźba.

— — — — —

W tobie góry marzeń i planów,
od których po prostu pękasz.

Przyjacielu, co dzień, w każde
rano
ku nam twoja steruje ręka.”
(„Pochwała listonosza wiejskiego”)

Tego typu potknięcia i łatwizny artystyczne osłabiają wymowę ideową wielu utworów.

Koprowski, porzucając definitywnie egotyczną, a tym samym społecznie blachą tematykę debiutanckiego tomiku, podejmuje obecnie nowe, z naszą rzeczywistością związane zagadnienia. Jest to pierwsze i ważne zwycięstwo. A żywiołowość i bezpośredniość jego wierszy — z chwilą gdy poeta głęboko wnika w naszą współczesność i usprawni swe środki poetyckie — będą elementami niezwykle cennymi.

3.

Poemat Artura Międzyrzecznego p.t. „Szyby Auchel”⁴⁾ świadczy o solidniejszym i głębszym zrozumieniu poetyki socjalistycznego realizmu przez poetę niż to miało miejsce w wypadku poprzednich dwóch poetów. Mimo tego, że poetycka przeszłość Międzyrzecznego obfitowała w poważne błędy i zawiłkani ideowo-artystyczne, to jednak obecny poemat jest, spośród omawianych dzisiaj tomów, pozycją najdojrzalszą. Międzyrzeczki wypracował

sobie jasną i żywą formę — może niebył jeszcze oryginalny, jak to postaramy się za chwilę wykazać — ale w każdym razie dobrze służąc do wyrażenia pięknego i bogatego tematu, jakim są dzieje polskich górników — emigrantów we Francji.

Poeta bardzo trafnie kreśli obraz z niedawnej przeszłości Francji — z okresu międzywojennego dwudziestolecia, kiedy kraj ten, a przede wszystkim zagłębia węglowe Nordu, Pas-de-Calais, Meurthe-et-Moselle i in. były celem wędrowek emigranckich tysięcy polskich górników, zmuszonych opuszczać swój kraj w poszukiwaniu środków do życia. Przedstawia wysiłek i ucisk polskiego i francuskiego robotnika w kapitalistycznej Francji, ich walkę, strajki, więzienia. Niezadowolonym sojusznikiem w walce z wyzyskiem, w walce na barykadach rewolucyjnej Hiszpanii, w walce z okupantem hitlerowskim była zawsze polska emigracja robotnicza — co też poeta bardzo mocno i celnie akcentuje. Tak samo dziś u boku francuskiego robotnika walczy proletariusz polski — z tą tylko różnicą, że więzienia są amerykańskie, a miejsce Reynauda zajęli Schumann, Plevin i Moch. Słusznie też we wstępie pisze poeta, że „górnicza Polonia łączy się z Francją walczącą, Francją szczybów Auchel, Francją Raymonde Dien i Francją marynarza Martina”.

Oto szkicowe zaznaczenie problematyki utworu Międzyrzecznego. Utwór napisany jest w guście wspomnianego już wyżej „poematu politycznego”. Jest właściwie cyklem wierszy na wspólny temat, związanych postacią górnika Wdowiaka, który jednak nie jest postacią literacko pełną — jest tylko jednym ze środków pomocniczych służących do wyrażenia problemów i spraw obserwowanych przez poetę stojącego na platformie lirycznej, nie epickiej. W ujęciu Międzyrzecznego obszerny poemat liryczny spełnia bardzo dobrze swe zadania. Daje skrócone opisy zdarzeń, zaznając je środowiskiem, a jednocześnie agituje — mając nieraz sugestywność mowy bezpośredniej. Opiera się na znakomitym wzorze „Komuni Paryskiej” Broniewskiego Międzyrzeczki poemat swój ciekawie komponuje, wiążąc poszczególne fragmenty — mimo odrębnych tematów tychże — w logiczną i zwartą całość. Wypadnie jednak ustosunkować się krytycznie do zbyt mechanicznego przejmowania niektórych chwytów poetyckich i ujęć z twórczości patrona Międzyrzecznego — Władysława Broniewskiego. Oto fragment na poparcie powyższego sądu:

„Ciężkie kamienie nocy
Przywalają miasto od ziemi.
— No co, pójdziemy, chłopcy?
— Pójdziemy, dowódco, pójdziemy!

— Pójdziemy, dowódco górniczy:
Węcnę z faszystem wygrac —
Daleko na każdej ulicy
bije się o nas Stalingrad.

Daleko walka się toczy
O wolność wszystkich ziem
I świecą gwiazdą po nocy
Moskwa i Kremi!”

Nie sądzimy, że jest to zarzut wielkiej wagi. Dobrze się stało, że dotychczasowy zwolennik nieaktualnych, obcych nam sposobów poetyckich zwrócił się do najlepszych tradycji i osiągnięć polskiej poezji postępowej. Niemniej to stadium przejściowe — że takim jest, to nie ulega wątpliwości — nie może być długotrwałe.

Pewne zastrzeżenia budzi również tendencja do „przekrótowania” wroga, do przedstawiania go trochę jako smoka z bajki. Jest to błąd typowy również dla naszej satyry politycznej, dlatego wydaje mi się, że trzeba go zasygnalizować.

„Wyciągał pazury faszystom,
z prefektur zęby szczerzył —
stawały, kota maszyn... itd.

W dni ludowej budowy,
W dni dzwoniące jak spłz
Kolaboracja znowu
Lisi skrzywiła pysk.

Kuli się prowokacja, szczerzą się zęby
agentów —
Płyną ciężko sztandary zza ulic
go zakreću.”

Epitety te i ukosmiczanie wroga osłabiają wymowę ideologiczną poszczególnych fragmentów.

W całości jednak poemat Artura Międzyrzecznego jest książką wartościową i zyska na pewno dużą popularność.

W następnej części artykułu znajdzie Czytelnik omówienie twórczości A. Brauna, J. M. Głogusa, T. Kubiaka, T. Różewicza i W. Wirszy.

Leszek Herdegen

¹⁾ „Wiść” Nr. 36, 99. 1951.
²⁾ Jerzy Miller: „Słowa na pozycję”, Czytelnik 1951 str. 66.

³⁾ Jan Koprowski: „Nowa ziemia”, „Książka i Wiedza” 1951 str. 73.

⁴⁾ Artur Międzyrzeczki: „Szyby Auchel”, „Książka i Wiedza” 1951 str. 32.

TŁUM. ALEKSANDER RYMKIEWICZ

PIEŚŃ LUDOWA CZESKO - MORAWSKO - SŁOWACKA*)

JABŁUSZKA

Gdy wracałem z odpustu pewnego dnia
zobaczyłem dżewczynę, nie znałem jej,
jak z białej smukłej kłosa, jak wody szept młody głos
w ręce miała jabłuszka czerwone dwa.

Byłem chłopcem niemądrym i śmiałem się,
wziąłem od niej jabłuszka i zjadłem je,
lecz od chwili tej krwi w twarzy mam coraz mniej.
Zwróć mi miła urodę i siły me.

KOCHANIE, MIŁE KOCHANIE

Ty kochanie miłe, skąd cię ludzie wzięli,
w sadach ty nie rośniesz, w polu cię nie siał,
W polu mnie nie siał, ja się sama rodzę,
i między chłopcami i pannami chodzę.

Ej, ty kochanie nie jesteś stałe,
jak szum strumienia, gdy mija skałę.

Przepłynię woda, kochanie minie,
jako listeczka na rozmarynie.

BOŻE MOJ, OJCZE MOJ

Boże mój, Ojczy mój, popłatany, dziwny świat,
a wieśniakom los wieśniaczy cały rok jarzmo kładł,
Krwawy jest, ciężki jest pot i trud i chłopski grosz,
a pan myśli, że panować wieczny czas pański los.

EJ DĘBY, DĘBY

Ej dęby, dęby, zielone dęby, zielona dębina.
Pisze mój miły list do mnie czuły z wierzchoł
z nad Budina.
Odpiszę jemu, że jego nie chcę — gnusny jest
cały dzień,
on tylko pijać wódeczkę umie w mieście, gdzie
rynku cień.

HEJ GORY, HEJ DOLINY

Hej góry, hej doły hej, pójdę ścieżką tędy.
Ojciec mój był dobry, ja zbrojnikiem będę. (bis)
Hej, krzywdą tu wielką, hej, ból jest przynika;
bezprawie u panów, prawda u zbrojnika. (bis)

JA PAROBK Z KAPUSZAN

Ja parobek z Kapuszan
nie mam żony jestem sam.



Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

Zonie trzeba to i to:

baile, rondle, sito, szkło.

Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

I ciemki żona chce

włożyć na swe nóżki dwie.

Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

Zona ze chce fartuch mieć,

po sukienki dla niej jedź.

Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

Zonie też pomadę dasz,

gdy się stroi w wolny czas.

Hej, szybko schudnie, gdy ożeni się ktoś.
Bez żony też swych kłopotów mam dość.

BOŻE MOJ, OJCZE MOJ

Boże mój, Ojczy mój, serce me ścisła ból,
ten kto mnie nie chował dziś mi rozkazuje,
ten zaś kto chował mnie leży wśród czarnych pól,
odtąd już mam w trudzie słuchać obcych ludzi.

Mamo wstań, z grobu wstań, skarbie mój, serce me,
dzisiaj chcę z krzywd moich tobie się użalić.

Córko ma, córko ma, trudno wstać z grobu dna,
kamień zgnił me nogi, płomień serce pali.

Kamień z twych zępczną nog, ognia zaś zgaszę słup,
mamo twój grób rusz, ciebie dostać muszę.

CZYJA TO DZIEWCZYNA

Hej, czyja dziewczyna tam na wzgórzu,
wyszyły kłosuszek z drzew wynurza.
Czyja to jest? Powiem wam to:
chodźcie już do niej całe lato.

Pieniądze na buty ciepłe dałem,
kupiła pantofle cienkie, małe,
drogie jak pieprz, kručze jak szkło,
i nie są na zimę, lecz na lato.

Kup ty mi chłopaku o co proszę,
czerwoną wstążeczkę r-r-da noszę,
wstążeczka jak krew ogniem niech gra,
niech będą mój chłopce ciebie godna.

Kup ty mi chłopaku o co proszę,
zielony fartuszek rada noszę,
trawa twych łąk kolor ten ma,
niech będą mój chłopce twoja droga.

Kup ty mi chłopaku o co proszę,
czerwoną sukienkę rada noszę,
wije się nie, błyska jak skra,
niech będą mój chłopce ciebie pewna.

WEZ MNIE JERZY ZA ŻONĘ

Hej, za żonę Jerzy mnie weź,
hej, za żonę weź mnie Jerzy,
z nas nie będzie śmiała się wieść.

Cztery miary żyta ci dam,
cztery miary dam ci żyta,
syczorykiem skosisz je sam.

By nie było głodnych już dni,
by nie było dni już głodnych,
soczewicy miary mam trzy.

Wina cztery beczki też są,
wina cztery są też beczki,
jak orzeszki takie ich dno.

Hej, za żonę Jerzy mnie weź,
hej, za żonę weź mnie Jerzy,
z nas nie będzie śmiała się wieść.

*) Teksty pieśni ludowych tłumaczone według następujących zbiorów:

— Jindrich Maslo — Z českých krajů (1949) — La-ska, Boze, laska — Purodní melodie klaviren — Ladislav Vycpálek (1949) — Pochodujeme Józef Fuks (1946) — Záhoráci piesnický.

JERZY SKÓRNICKI

POWIEŚCI PIOTRA JILEMNICKY'EGO

Katalog przekładów słowackich wzbogacił dwie nowe pozycje — dwie powieści Piotra Jilemnickiego: „Kawałek cukru” i „Kronika”. Czytelnik zeszłorocznych nowości słowackich przypomina sobie dwa pierwsze przekłady: „Lasy milczą” Horaka i „Zakręt pod Rachowem” Krala. Lektura książek Jilemnickiego przywodzi mocno na pamięć owe „slavica”: „Lasy milczą”, Horaka, to — wyda się — zdublowana „Kronika” — „Zakręt pod Rachowem” tkwi w tematycznym kręgu „Kawałka cukru”. Nie samo tylko pokrewieństwo tematyczne pobudza czytelnika tych książek do zestawień i porównań. Uderza również niezaprzeczane podobieństwo w artystycznym kształtowaniu przedstawianych momentów słowackiej rzeczywistości. Nie chodzi tu o budowanie mglistych konstrukcji wpływologicznych. Waga problemu leży w tym, że materia literacki, który ten zespół książek reprezentuje, pozwala wy-kazać wyjątkowość pisarstwa Jilemnickiego. Ten też wzgląd będzie skłaniał recenzenta do wycieczek w kierunku książek Krala i Horaka.

Na początek kilka słów o Piotrze Jilemnickim.

Z narodowości Czech — urodził się w Kysperku w proletariackiej rodzinie kolejarzkiej (1901 r.). Ukończył studia w Wyższej Szkole Gospodarczej w Chrudimiu — osiadał od 1923 roku w słowackiej wiosce Kypuce jako nauczyciel. Od roku rozpoczęcia pracy nauczycielskiej należy do Partii Komunistycznej.

Życie Jilemnickiego, praca wychowawcza wśród słowackiej młodzieży i cała jego twórczość literacka to piękny przykład głębokiego poczucia internacjonalizmu. Pisarz i nauczyciel czeski wszystkim swymi siłami służył masom ludowym pobratymczy Słowacji. Nie ulega ni razu nacjonalistyczno-szowinistycznym nastrojom, rozsiewanym przez burżazję oświeconą.

W latach 1926-28 przebywał na terenach Związku Radzieckiego wśród czeskich robotników w komunie Interhelpo (towarzyszom z tej komuny poświęcił w kilka lat później swój zbiór reportaży o Kraju Rad — Juliusz Fuczik). Plonem tych lat będzie tom reportaży: „Dwa lata w Kraju Rad”, i późniejsze powieści: „Grzmiący krok” — obraz walki o kolektywizację wsi słowackich w Związku Radzieckim — i „Kompas mamy w sobie” — opowieść o międzynarodowej komunie robotniczej Interhelpo.

W latach trzydziestych ukazują się pierwsze książki Jilemnickiego o ciężkiej doli ludu słowackiego. „Zwycięski upadek”, przedstawiający twardą walkę o byt robotniczą Hronia, pozostaje jeszcze pod silnym wpływem literatury mieszczańskiej. Ekspresjonizm i naturalizm obciążają mocno tę wczesną próbę pisarstwa Jilemnickiego. Przewyższenia tych obciążeń dokonuje pisarz w „Kawałku cukru” i „Nieoranym polu” (nie bez reszty). Ostatnia z wymienionych powieści — oskarżenie kapitału czechosłowackiego za nędzę, bezrobocie i emigracyjne tułaczki słowackich robotników — winna w jak najbliższym czasie uzupełnić czytelnikom polskim sylwetkę pisarstwa Jilemnickiego.

Przez pełny okres II wojny imperialistycznej był pisarzem-komunistą więziennym obozów w Dachau i Mauthausen. Po wyzwoleniu pracował jako attaché kulturalny rządu czeskiej republiki ludowej w Moskwie nad dalszą rozbudową i pogłębianiem socjalistycznej kultury narodów czeskiego i słowackiego. Lata więzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych pozostały w organizmie pisarza niezatarte ślady. Jilemnicki zmarł przedwcześnie w pełni sił twórczych w maju 1949 roku.

Równina jak stół płaska, aż po granice widnokręgu. Jak daleko oko sięgnie — pola buraczane. Chude chłopie polećka przylatca olbrzymie cielsko ziem dworkich. Na chłopskich zagonach uzojeni ludzie użyniają własnym potem uprawianą ziemię. Woły i chude szkapiny ciągną jednoskokowe plugi — ciężka, żmudna walka z ziemią o skąpe plony. Na ziemi ob-szarnika Jerzabka jazgocze traktor. W dali — tam gdzie zachodzi słońce, kontury miasteczka. Pod miastem czernieje zespół murów i kominów cukrowni.

Tak, to już wystarcza na szeroka jak rzeka powieść o krzywdzie buraczarza, wyzyskiwanego przez dwór i karteke cukrownicze, parobka w obszarniczym dworze. Widyminy parobka Balenta, patrzące na pola:

„I użduż i uszerz... buraki cukrowe. Cukier... cukier... całe życie kręci się koło cukru. Kiedy brał tę rolę, miał takie uwarunki, jakby kraj olbrzymi plaster miodu: kiedy buraki okopywał, dobywał z gruntu albo ładował na wóz, zdawało mu się, że ręce jego lepią się do motyki albo do topoty. Tak silne było wyobrażenie tej stodoły, w której zatopione jest całe jego życie. Gorzkie jego życie...”

Parobek Balent trzy razy dziennie pije nieomaszczaną polewkę z kluskami, albo czarną gorzką kawę z równie czarnym i gorzkim chlebem.

Po kilku stronach książki zdaje się nam, że jesteśmy w pełni zorientowani w zamierzeniu pisarstwa Jilemnickiego: powieść będzie ukazywała ciężką i trudną walkę drobnych plantatorów buraków i robotników rolnych z przylatczającą ich znową dziedziczą i potentatów przemysłu cukrowniczego. Walka będzie tym ostrzejsza, że czas akcji powieściowej obejmuje czas międzynarodowego kryzysu:

„Świat jęczy pod krzyżem... Kryzys już od kilku lat wali się przez kraje, jednym rozmachem ręki zatrzymuje fabryki, drugim dusi robotników i paraliżuje ich muskuły, trzecim dławi gospodarzy. Zmładzły wszystko... wszystko jest przy-bite do ziemi i zdławione, obejrzycie się wokół, a nie już nie zobaczycie: upadliśmy w jamę, skąd nie ma ucieczki. Jakies niedorzeczne mrowisko ludzkie, tragiczne ogubienie, trujące, niełatwe do oddechu powietrze, ślepoty, ciemność za dną.

Ludzie pracują... ale nie wiedzą dla kogo.
Ludzie nie pracują... a mieliby dla kogo.”

Jilemnicki nie poprzestaje jednak na tym. Chce dać szeroki obraz społeczeństwa słowackiego w warunkach panoszącego się kryzy-

su. Powieść toczy się co najmniej czterema nurtami: jeden to ten, który nakreśliłmy wyżej, drugi — ukazuje środowisko Jerzabków i ich poplecników w mieście, trzeci — objęta jest młodzież wiejska i szkolna, czwarty — to spojrzenie na falujący w gniewie, zwiększający się z dnia na dzień tłum bezrobotnych, wypychający ulice miasteczka.

Cóż, kiedy każdy z tych wątków to temat do osobnej, rozbudowanej powieści. Widać to wyraźnie po pierwszej części powieści Jilemnickiego. Pisarz unikając schematyzowania wzbogaca poszczególne wątki w szczegółowe konflikty komplikujące. I tak w nurcie pierwszym w samodzielny niemal obraz urasta krzywdą wolarza Kowacza, którego wyparł z pracy zakupiony przez Jerzabka traktor. Luddystyczna bunt i walka z maszyną — to przykład walki nieświadomości. Inną walkę prowadzi syn parobczy Balentki, o którym ona sama z dumą mówi: „Mój Marek — to proletariusz”.

Albo znowu wątek młodzieżowy: walka o wydarcie wiejskiej młodzieży spod wpływu syna dziedzica, haniebne pocignięcia reżimowych nauczycieli, diawliczych swobodnych myśli uczniów, borykanie się z życiem młodego maturzysty Wawra — dają zupełnie wystarczające bogactwo materiału i dostatecznie ostre konflikty dla zbudowania odrębnej, pięknej powieści o życiu słowackiej młodzieży. Przecież Jilemnicki chce, żeby jego ludzie żyli pełnym życiem. Nie odmawia im słuszości, gdy zaczynają się kochać i cieszyć się drobnymi sukcesami prostego, codziennego życia. Śledząc rozwój tego wątku, widzimy wyraźnie, osobiste zaangażowanie pisarza w przedstawionych obrazach życia młodzieży. Jilemnicki wiele lat spędził jako wychowawca wśród młodych Słowaków. W sylwetce profesora Barny błakaję się gorzkie wspomnienia bezsilności świadomego otaczającej go sytuacji społecznej wychowawcy wobec politycznego terroru panoszącego się w murach szkolnych.

Można by tak po kolei pokazywać piętnienie się nagromadzonych konfliktów i powikłań w poszczególnych nurtach powieści. Nie jesteśmy zwolennikami schematyzmu w badaniu dzieła literackiego, ani formalistycznych sztuczek, ale nie ulega wątpliwości, że gdyby przyszło sporządzić wykres powiązań wątków i epizodów — okazałoby się bardzo naocześnie że ich nadmiar przeciąża książkę, szczególnie w części ekspozycyjnej. Można przyjąć, że wykres przedstawiałby siatkę nie mniej pogmatwaną, jak na przykład tablicę genealogiczną ostatniego koronowanego Habsburga.

Książkę Jilemnickiego o „kawałku cukru” obciąża więc ten sam błąd kompozycyjny, który recenzenci zarzucili „Zakrętowi pod Rachowem” Krala. Pisarz, zamierzający ukazać szeroki obraz życia społecznego, unika wprowadzenia wątku czy postaci centralnej, która by cementowała całą akcję, rozprasza się natomiast w szczegółach. Stąd wypływa — jako nie dająca się uniknąć konsekwencja — szkiełkowanie przedstawień i częste nieumotywowane, mechaniczne przenoszenie uwagi czytelnika z jednego kręgu tematycznego w drugi.

Powieść nabiera cech szkicu do dziesięciotomowej powieści.

Jak wspomnieliśmy — przeciążenie bogactwem treści odbija się szczególnie silnie na pierwszej części książki — ekspozycyjnej. Od momentu bowiem, gdy poszczególne wątki zostaną wyłożone, akcja dynamizuje się. Z szeregu spiętych konfliktów wyłania się temat wiążący: krzycząca krzywdą ludzi prostych w ustroju kapitalistycznym chaosu i coraz ostrzejsza i skuteczniejsza walka przeciw tej krzywdzie. Kończące partie książki czytelnik już rzeczywiście jednym tchem.

Książkę Jilemnickiego zamyka wspaniały obraz zwycięskiego strajku robotników rolnych, robotników cukrowni i zwycięskiej opozycji drobnych buraczarzy. Rośnie i umacnia się sojusz robotniczo-chłopski w działaniu, zapowiadają przyszły zwycięstw w walce o władzę i obalenie starego ustroju krzywdy i wyzysku.

Nie samotna walka Kowacza z traktorem, ale wspólny front walki o to, by maszyną stały się własnością ludu i dla tego ludu pracowały, by każdemu przypadł w udziale sprawiedliwy „kawałek cukru”, staje się żywotnym nakazem rzeczywistości. Ostatnim kartom powieści Jilemnickiego przyswieca słońce ludowej przyszłości.

„Kronika” Jilemnickiego opowiada o chłubnej karcie w dziejach narodu słowackiego — o roku 1944, w którym Słowacy powstali przeciw hitlerowskiemu i hitlerowskiemu faszystowskiemu. Wypadki rozgrywane się w górzystej okolicy, położonej na wschód od Bańskiej Bystrzycy, pozwalają pisarzowi ukazać mechanizm powstawania szerokiego frontu walki o wyzwolenie narodu.

Wokół grupy działaczy partii komunistycznej, w wyniku prowadzonej przez nich akcji politycznej — narasta masowy ruch narodo-wy-wyzwoleniowy. Jednym tępem żyją górskie koliby — kryjące sztaby radzieckich i słowackich oddziałów partyzanckich, zaszyte w lasach leśniczówki — przemieniające się w ośrodki dyspozycyjnej walki podziemnej, i położona w dolinie rzeki Hron wioska — baza operacyjna i rekrutacyjna ruchu. Komitet rewolucyjny, kierujący walką z okupantem, przygotowuje jednocześnie masy ludowe do przejęcia władzy w swe ręce.

Jilemnicki kilkakrotnie podkreśla świadome ograniczenie ram obrazu do wypadków rozgrywających się w jednej gminie słowackiej — broni koncepcji kroniki, notującej rzeczywiste wydarzenia jednego z terenowych ogniw ruchu powstańczego. Koncepcja wydaje się słuszną: dzieje tworzą swym wysiłkiem szerokie masy narodowe, ogólny wynik przygotowały rewolucyjne osiągnięcia mas w poszczególnych miastach, wioskach, gminach.

Nie wszędzie jednak istniały jednakowe warunki walki. Jilemnicki — pisząc o gminie położonej w górny bęgu Hronia, sam stwierdza — że walka w niej była łatwiejsza: o obliczu klasowym gminy decydowała bowiem zupełna przewaga proletariatu nad biedotą chłopską. W „Kronice” przejęcie władzy przez ludową Gminną Radę Narodową odbywa się w wiosce w atmosferze powszechnego

manifestacyjnego zapалу, ale nie ostrej walki klasowej. Obóz reakcji społeczno-politycznej reprezentują w książce: sklepikarz Cút, paskarka Dobuszowa i wójt — hlin-kowiec, realizujący jako władza polityczna właściwe tylko ambicje żony, a nie program faszystowskiego reżimu. Rozbicie tak skonstruowanej koalicji sił wstecznych nie stwarza w powieści żadnego problemu. Rzecz prosta, że taki obraz nie daje właściwego pojęcia o wielkim, rewolucyjnym wysiłku ludu słowackiego, w dziele walki o proletariacką władzę w swym kraju, nierozdzielnie związanej z walką przeciw hitlerowskiej niewoli narodowej.

Ciasny autentyzm nie oznacza jeszcze realizmu. Pisarz, który pisze kronikę gminy, by ukazać dynamikę walki o wyzwolenie narodu i społeczne Słowacji — świadomie dokonuje wyboru gminy. W większości gmin słowackich walka ponad wszelką wątpliwość nie była taka łatwa. Walka w opisywanym przez pisarza Blku nie miała wszystkich znamion typowości.

Nie można jednak zamykać oczu na fakt, że ambicją pisarza jest rozszerzenie obrazu poza wymiary opowiadania o partyzanckiej wojaczce. Książka Jilemnickiego prze-wyższa o wiele wszelkie próby ukazania walk powstańczych Słowacji, którą dał Józef Horak. Gmina Jilemnickiego żyje daleko prawdziwym życiem, niż zagroda Vahanów — rezerwat, w którym osiedlono ludzi o świadomości dziesiętnastowiecznych Janosików. Ludzie z Blku są mniej czy więcej uświadomionymi współtwórcami nowej rzeczywistości, dla Vahanów bieg powstańczych wydarzeń nie różni się w swym sensie i poznawalności od żywiołowego kataklizmu przyrody, rozbiłającego życie samotnej zagrody.

Już nie koncepcja miłości wspólnej, już nie do radzieckiej spadochroniarzy decyduje o ukazaniu bohaterstwa pomocy ludzi Kraju Rad dla walczącej o wolność Słowacji (tak w książce Horaka). Jilemnicki ukazuje zagadnienie w całej jego głębi. Zwycięska ofensywa armii radzieckiej, niosąca klęskę hitlerowskiej machinie wojennej, leży u podstaw nadziei słowackich patriotów na rychłe wyzwolenie narodowe i społeczne. U boku słowackich i czeskich partyzantów walczą oddziały radzieckich spadochroniarzy. Piękna sylwetka pułkownika Szukajewa — wodza radzieckich partyzantów — to wierny obraz dowódcy nowego typu, oficera radzieckiego, równie twardego w sprawie dyscypliny, jak ludzkiego w trosce o żołnierzy.

Niezaprzeczalną oryginalnością książki Jilemnickiego jest sposób, w jaki pisarz buduje tok narracji. Książka przybrała kształt spisanej opowiadania prostego uczestnika walki i politycznych wydarzeń — leśniczego Gondasza. O człowieku, który spisuje gawędy Gondasza — wiemy, że jest nauczycielem szkoły wiejskiej. Tajemnica tej wymyślnej formy jest prosta. Jilemnicki nie był bezpośrednim świadkiem okupacyjnej rzeczywistości w kraju słowackim — przez cały niemal okres wojny był więźniem hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Był zaś wiele lat nauczycielem w Kypucach, które nie były znowu tak odległe od opisywanego Blku. Po

wyzwoleniu obszedł wioski w górnym biegu rzeki Hron, by zebrać materiał do swej opowieści o powstaniu Słowaków. „Kronika” urodziła się z opowiadań świadków wojennych wydarzeń. Etap wstępny kształtowania się powieści można prześledzić w ogłoszonym w 1945 roku szkicu „Ciemny Balog” (zma-dziarzowana nazwa wioski Blk).

Tok narracji w „Kronice” może budzić pewne zastrzeżenia. Jilemnicki niejednokrotnie zbyt ulegał urokowi potężnej wymowy swego narratora. Wiele kart książki traci wskutek tego manierę gadulstwa, przerywanego pykaniem myślowej fajerki. Zbyt częste i szablone rezonowanie Gondasza na temat sposobu snucia wątku opowiadania, pełne zastrzeżeń i ubezpieczeń przed ewentualnymi zarzutami, wynurzenia odautorskie (w słowach Gondasza), które w monotonny sposób otwierają i zamykają większość rozdziałów „Kroniki” — nie przysłużyły się wcale do wytworzenia wrażenia o wartości dzieła. Można się również kłócić z autorem, czy akurat właśnie Gondasza powinien być narratorom, często bowiem jego filozofia życiowa koliduje z założeniami deklaracji ideowej partii komunistycznej. Jeśli nawet żył i opowiadał taki Gondas, jak ten — który żyje w „Kronice”, to przecież znowu, jak w przypadku z gminą, wybrał go i dał mu głos na swoją odpowiedzialność Jilemnicki. W ogóle zaś niesłusznie i fałszywie jest odbieranie ludowemu narratorowi prawa do szerszych horyzontów myślowych, do bardziej krystalizowanego światopoglądu.

Cenna i ciekawa stroną „Kroniki” jest wykorzystanie przyjętych pozycji prostego obserwatora rzeczywistości dla przybliżenia strony obyczajowej życia, mieszańców słowackiej podgórskiej wioski. Folklor i przyroda karpacijskiej okolicy przewokowały Horaka do snucia ekspresjonistycznych obrazów; Jilemnicki wykazuje tu większą zdolność opanowanego wykorzystania bogactwa w tej sferze materiału literackiego. Dalszą zasługą pisarstwa Jilemnickiego — świeży i niezwykły indywidualny język powieści. Metafora Gondasza — sięganie po realia myślowe i wiejskiego życia w budowanych porównaniach — urasta w odrębny problem stylistyczny przy lekturze powieści. Tu-maczowi „Kroniki” — Zdzisławowi Hierowskiemu — należy się za wprost pieczołowite wydobywanie tych wartości w pełni zasłużona pochwała.

Wartość książki? Jest ona w szerokim oddechu mieszańców słowackiej wioski po przetoczeniu się przez ich ziemię groźnej i niszczącej machiny wojennej, jest w wielkim zapale prostych ludzi — którzy po dokonaniu patriotycznego obowiązku obrony ojczyzny odchodzą do swych codziennych prostych obowiązków, jest w przekreśleniu nieprawie niesionych przez wojnę.

Jerzy Skórnicki

*) Piotr Jilemnicki, „Kawałek cukru”. Przełożyła Alina Swiderska, „Książka i Wiedza”, 1950, str. 322 + 2 nb.

*) Piotr Jilemnicki, „Kronika”, Przekład autorski Zdzisława Hierowskiego, PIW, 1950, str. 361 + 1 nb.

EDWARD MARTUSZEWSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ LU SIŃ

„Właśnie Lu Siń był najsprawdliwszym, najbardziej oddanym, najbardziej poświęconym, najbardziej wieloletnim, najbardziej wieloletnim bohaterem narodowym, który w imieniu większości narodu rozpoczął atak na pozycję wroga na froncie kultury” — pisze Mao Tse-tung w swej pracy „O nowej demokracji”.

Lu Siń „chiński Gorki” twórca współczesnej literatury chińskiej nazywał się właściwie Czuou Szu-żen. Urodził się 25 września 1891 roku, w Szaozin w prowincji Czekiang, a najwcześniejsze wspomnienia jego dzieciństwa dotyczyły stałych wędrówek do lombardu, gdzie wspinając się na palcach do okienka, oddawał w zastaw różne przedmioty, aby uzyskać w ten sposób pieniądze na lekarstwa dla ciężko chorego ojca.

Matka Lu Siń, zarabiając praniem w domu i krawiectwem, osiągnęła to, że — po ukończeniu szkoły średniej — syn jej mógł uczęszczać do szkoły morskiej. Już jako mechanik wstąpił do szkoły technicznej, a po jej ukończeniu wyjechał na studia medyczne do Japonii. „Moje ówczesne marzenia były piękne — pisze w przedmowie do jednego ze zbiorów swych opowiadań — Postanowiłem, że po ukończeniu Instytutu Medycznego wrócę do ojczyzny, aby leczyć i ratować życie chorych ludzi”.

W 1909 roku wraca do Chin. Wkrótce jednak porzuca medycynę na rzecz oświaty i wychowania. Dochodzi bowiem do wniosku, że „medycyna nie jest teraz dla mnie rzeczą najbardziej istotną. Najważniejszą sprawą dla nas powinna być duchowa przemiana ludzi, a osiągnięcie tego było możliwe w owych czasach — jak sądziłem — za pośrednictwem literatury i sztuki”. Zostaje więc profesorem różnych wyższych uczelni Chin, poświęca się literaturze i publicystyce. Pierwsze jego utwory prozą pod pseudonimem Lu

Siń pojawiają się w 1918 r. w piśmie „Nowa Młodzież”.

„Lu Siń konsekwentnie i bez wahania prowadził walkę z feudalizmem i imperializmem — pisał o nim Mao Tse-tung — Lu Siń pokazywał społeczeństwu feudalne w procesie jego rozkładu, piętnował wady ustroju społecznego i ucisk imperialistyczny. Był wspaniałym artystą słowa. Pamiętamy go nie tylko dlatego, że Lu Siń był wielkim pisarzem ale również dlatego, że należał do awangardy ruchu, zmierzającego do uwolnienia narodu i do odwołania wszystkich jego sił walce rewolucyjnej”.

Zasiłki Lu Siń były trojakie. Pierwszą zasilką, którą zyskiwał mu uznanie i wdzięczność narodu, było przełożenie przez niego dzieł chińskiej literatury klasycznej na współczesny, ludowy język chiński (bajhwa). W oczach konserwatywnej inteligencji chińskiej równało się to profanacji. Owcześnie literatura chińska bowiem, zamknięta w „wieży z kości słoniowej”, pogardzała zwrotami języka potocznego. Zasklepiała się w swojej starodawnej estetyce, stosując jedynie znaki pisarskie sprzed wielu wieków. Straciwszy łączność z ludem literatura chińska wyodrębliła się w formalistyczną i elitarną „sztukę dla sztuki”. „Poezja, filozofia i pouczające opowiadanie — zdaniem tych „artystów” — nie pasują do domów zwykłych ludzi, podobnie jak piękne obrazy i gobeliny”. Lu Siń zerwał z tymi fałszywymi mniemaniami. Zniszczył monopol klas posiadających w dziedzinie literatury, przyswoił wiele dzieł klasycznych językowi bajhwa. Owocem jego badań literaturoznawczych była wydana w 1924 roku „Historia noweli chińskiej, zwalczająca teorie krytyki feudalnej i burżuazyjnej, a wskazująca na te dzieła, które były najściślej powiązane z życiem ludu”.

Jeszcze większą jego „zbrodnią” było przetłumaczenie wielu dzieł literatury obcej. Równało się to prze-

rwaniu chińskiego muru uprzedzenia i pogardy, jakim rządy cesarskie i burżuazyjne oddzielały naród chiński od innych narodów świata. Lu Siń przetłumaczył na język chiński dzieła Gogola, Sienkiewicza, Nacume Soseki, Mori Ogai, Puszkina, Lermonowa, Czechowa, Heine, Byrona, Shelleya, Petöfiego, Mickiewicza, Fajdajewa, Serafimowicza, Gorkiego.

Największą jednak zasługą Lu Siń była „rewolucja literacka”, stworzenie nowej, ludowej literatury chińskiej. Jego realistyczne opowiadania, dramaty i wiersze pisane są dla ludu i mówią o ludzi językiem zrozumiałym dla wszystkich. „Jego język — stwierdza A. Fajdajew w artykule napisanym w związku z 13 rocznicą śmierci Lu Siń — odznacza się ludowym sposobem obrazowania. Jego satyra i humor, przy swoim ogólnoludzkim charakterze, posiadają cechy narodowe. Utrudnia to poniekąd przekład utworów Lu Siń na inne języki. Ale bez tych cech charakterystycznych nie byłby on Lu Siń — duża literatura chińska i wybitnym przedstawicielem literatury światowej”.

Lu Siń jest mistrzem krótkiego opowiadania. Umie on krótko, jasno i po prostu przekazać swe myśli za pośrednictwem obrazu, wyrażając w epizodzie wielkie wydarzenia, a w pojedynczym człowieku — typ ludzki”.

Bohater jednej z nowel Lu Siń — A Kiu — jest w Chinach bardziej popularny i „żywy” niż don Quijote w Hiszpanii. Tematyka utworów Lu Siń obraca się zawsze wokół życia prostych, „małych ludzi”, przede wszystkim weteranów w nędzy chłopów chińskich. „Zabrałem się do pisania nowel — mówi o sobie Lu Siń — po to, aby odzwierciedlić życie i aby pomóc w przebudowie tego życia. Dlatego też tematyka moich utworów związana jest wyłącznie z bytem nieszczęśliwych ludzi naszego chorego społeczeństwa. Chciałem

opowiedzieć o cierpieniach i znajomości tych ludzi, aby zwrócić im ich godność, chciałem siłą swoich utworów przekształcić nasze społeczeństwo”.

Głęboki humanizm cechuje pierwsze utwory Lu Siń, drukowane w 1918 roku. Wielka Rewolucja Październikowa i wpływ utworów pisarzy radzieckich przyczyniły się do rozwoju talentu i Lu Siń, tak w dziedzinie literatury, jak i w zakresie działalności społecznej — publicystycznej. Nie będąc członkiem Komunistycznej Partii Chin, Lu Siń walczył o realizację tych samych ideałów rewolucyjnych, jako wielki myśliciel, publicysta i pisarz. „Przedtem jedynie czułem — pisał Lu Siń — że stare społeczeństwo ginie. Ale po Wielkiej Rewolucji Październikowej przekonałem się, że tworząc nowego społeczeństwa będzie proletariata”.

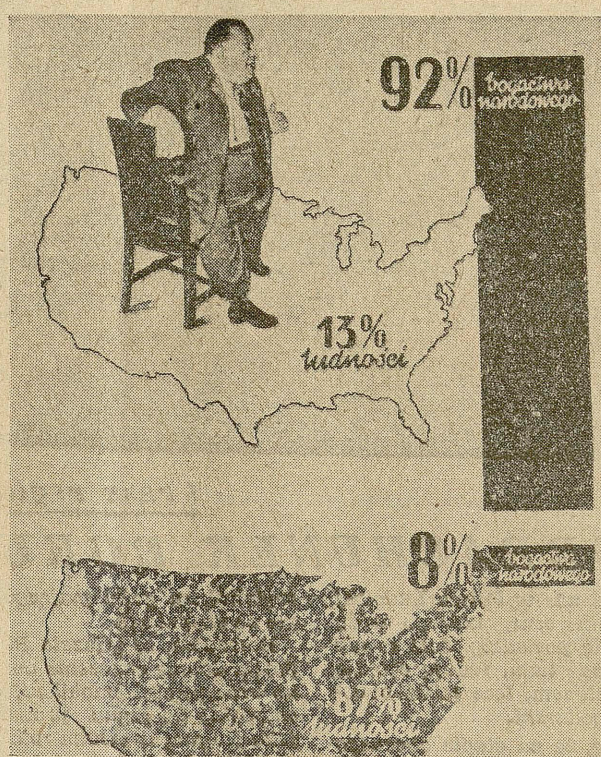
Lu Siń studiował i tłumaczył na język chiński dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, prace teoretyczne Plechanowa, Mehringa i Łunaczarskiego. Przełożył on też na język chiński wskazania CK WKP(b) na temat literatury i był jednym z założycieli Ligi Pisarzy Lewicowych (1930). Jego liczne utwory o charakterze publicystycznym (zebrane po jego śmierci w 12 tomach) skierowane były przeciwko imperializmowi anglosaskim i przeciwko rodzimej reakcji.

Lu Siń był tym, który zaznajomił swych rodaków z radziecką sztuką plastyczną i z ciałych sił popierał rozwój chińskiego drzeworytu ludowego, który spełnia do dnia dzisiejszego wielką rolę w akcji uświadamiania i wychowania politycznego mas, ze względu na to, że wiele milionów Chińczyków nie zna sztuki pisania i czytania.

Jako szermierz sprawy postępu i demokracji Lu Siń, ścigany przez władze kuomintangowskie, które parokrotnie chciały go wtrącić do więzienia, musiał co jakiś czas zmieniać miejsce pobytu i pisać pod coraz to nowymi pseudonimami. Prześladowania ze strony Kuomintangu pogorszyły stan jego zdrowia i uniemożliwiły mu literackie opracowanie zebranych już przez niego materiałów o sławnym marszu na północ Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Lu Siń zmarł 19 października 1936 roku w Szanghaju, nie doczekawszy się czasu, o którym nadzieje walczył.

Całe życie i twórczość Lu Siń przeniknięte były niezachwianą wiarą w nieunikniony koniec świata kapitalistycznego. Pełne głębokiego humanizmu postacie realistycznych utworów Lu Siń, gorące słowo jego artykułów, publicystycznych, całe jego trudne i piękne życie — to wielki wkład w prowadzoną na całym świecie walkę o lepsze jutro ludzkości.

Edward Martuszeński



K. R. ZAWADZKI

SCHYLEK ŚWIATOWEGO KAPITALIZMU *)

Przewodniczący komunistycznej partii USA, weteran rewolucyjnego amerykańskiego ruchu robotniczego William Z. Foster, w książce „Przeniknięcie rewolucyjnym optymizmem i niezłomną wiarą w zwycięstwo walczącej o pokój, demokrację i socjalizm klasy robotniczej, pisze:

„Postępujący coraz szybciej rozkład międzynarodowego kapitalizmu, równocześnie z obserwowanym wielkim procesem rozwojowym światowego socjalizmu — oto kierunek stanowiący o przebiegu wydarzeń przeżywanego przez nas epoki”.

Groźne cykliczne kryzysy gospodarcze, zaostreżenie się przeciwności klasowych, wzmagająca się walka uciemiężonych narodów kolonialnych przeciwko imperialistycznym metropolom, wzrost potęgi obywateli socjalistycznego wskazują na kryzys, na upadek międzynarodowego systemu kapitalistycznego. Szerokie symptomy przytoczonych przez autora potwierdza ten stan rzeczy: wyduńnianie się miast; zamykanie wielkich i małych zakładów przemysłowych; dezorganizacja rynków i handlu międzynarodowego; deprecjacja walut; wzrost bezrobocia; szalejąca drożyzna; degeneracja nauki i sztuki. Świadczą one najwyraźniej o tym, że:

„Kapitalizm, po przeżyciu swego wieku, rozkłada się całkowicie, zaturawiając świat zaduchem”.

W. Z. Foster udowadnia, błędność złudzeń monopolistów chcących ciągle jeszcze wierzyć, że kapitalizm może być uratowany przez monopol USA. Tymczasem imperialistyczne knowania Wall Streetu, zmierzające do panowania nad światem, przez pogłębianie dezorganizacji gospodarki, oraz wzmaganie walki uciemiężonych narodów, powodują jeszcze szybszy rozpad systemu kapitalistycznego. Na jego miejsce przyjdzie socjalizm, wywalczony przez klasę robotniczą, uzbrojoną w zwycięską teorię marksizmu — leninizmu.

Ideologowie burżuazji szerzą legendę o amerykańskim „prosperity” i wyjątkowości krajów, że kryzysy, bezrobocie, absolutne i względne zubożenie klasy robotniczej, antagonizmy społeczne sprzecznosci klasowe itp. nieodłączne zjawiska kapitalizmu nie istnieją w USA.

W. Z. Foster demaskuje te kłamstwa, wykazując, że:

„Monopolistyczny kapitalizm amerykański, przetrwał od wewnątrz i z zewnątrz wstrząsany przez nieustające kryzysy gospodarcze musi być i jest nieuniknionie kapitalizmem imperialistycznym, faszystowskim, agresywnym”.

W gospodarce USA panują prawa monopolistyczne — imperialistyczne dążenia. Grupa monopolistów opowiada przemysł, banki, koleje, gaz, energię elektryczną, żeglowność, komunikację lotniczą, żeglowność morską, oraz bogactwa naturalne kraju. Ilość akcjonariuszy wielkich korporacji (towarzystw akcyjnych) wynosi zaledwie 5,5 do 7 proc. całej ludności. Z tej zaś nieznacznej liczby grupa supermiliardów (1 proc. ludności) już przed 1939 rokiem zaradniała 60 proc. wszystkich dywidend. Miliony natomiast rodzin amerykańskich żyje w skrajnej nędzy, a ponadto 1/3 ludności odżywia się, ubiera i mieszka poniżej (niższego) poziomu USA za przeciętny poziom utrzymania.

Bogactwa amerykańskich miliardów nagromadzone zostały, jak wykazuje autor, kosztem krwi narodów. Już w czasie II wojny światowej monopolistyczna USA zagarnęła miliardy dolarów na dostawach wojennych i powojennych. Zyski te w czasie II wojny światowej wyniosły 87 miliardów dolarów. Dlatego też W. Z. Foster porównuje amerykański kapitalizm z potwornym pajakiem, pożerającym złoto, rynki, bogactwa naturalne, rolnictwo, przemysł, niezależność gospodarczą i suwerenność państwową narodów świata.

Lektura książki W. Z. Fostera wykazuje czytelnikowi w sposób bezsporny, że II wojna światowa została wywołana przez spiskujące grupy międzynarodowego kapitału finansowego z Wall Streetem na czele. Celem zaś tego spisku było rozbicie i zniszczenie Związku Radzieckiego. W tej antyradzieckiej krucjacie niemieckiemu i japońskiemu faszystowski wyznaczono zadania

straży przedniej. Dlatego też rządy USA, Wielkiej Brytanii i Francji trzymały się w latach przedwojennych kursu polityki „łagodzenia” wobec wsiekłych psów faszystów: Mussoliniego, Micaelo i Hitlera.

Niepomni jednak haniebnego losu tych ludobójców oraz upadku ich systemów, imperialiści USA planują ponownie ekspansję na nieznana w historii skale:

„Bredzą oni o imperium światowym, które powinno zaćmić imperium Dżingis — Hana, starożytnego Rzymu, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii oraz hitlerowskich Niemiec i Japonii”.

W związku z tymi szaleńczymi pomysłami autor analizuje obecną politykę zagraniczną i wewnętrzną USA. Doktryna Trumana, plan Marshalla, pakt Północno-Atlantycki, sprzedażna maszyna do głosowania w ONZ mają służyć jako podstawowe narzędzie Wall Streetu w przygotowaniu wojny przeciwko demokracji i socjalizmowi, w podboju ZSRR.

Dlatego też amerykańskie wydatki wojenne w roku 1949 były o 15 razy większe od budżetu wojennego USA z roku 1940. Liczba amerykańskich wojennych baz lotniczych i morskich, rozrzuconych po wszystkich kontynentach, wynosi ponad 500. Imperializm USA usiłuje ponadto wykorzystać narody krajów zmarszczonych, jako tanie i posłuszne mięso armatnie, nie cofając się w tym celu przed żadnym kłamestwem i masowym oszustwem.

Prawa ręka Hitlera — dr Goebbels był marnym dyktantem w porównaniu z perfidią i organizacją oraz środkami finansowymi amerykańskich fałszywych proroków, rozpalaających historię wojenną, głoszących „zimną wojnę”, usiłujących dla zachowania milionowych zysków Wall Streetu wtrącić ludność w ocalałą katastrofę. W. Z. Foster ostrzega jednak militarystów USA, że:

„Światowy system kapitalistyczny beznadziejnie okaleczony w wyniku I i II wojen światowych przegnił narodzić. Nowa wojna światowa wywoła kompletne bankructwo i prawdopodobnie ostateczne zagładę kapitalizmu”.

Z cyfr i danych przytoczonych przez autora wynika, że Stany Zjednoczone A. P. stanowią dzisiaj własność znikomą grupki miliardów. Zrastanie się aparatu państwowego z monopolistycznym kapitałem osiągnęło formę szczytową. Utworzony w ten sposób kapitalizm państwomono-

monopolistyczny przystąpił do gwałtownej faszystyzacji kraju. W tym celu szerzy on obsesję szpiegostwa, psychozoję wojny, antykomunistyczną i antyradziecką historię przy pomocy: ustawy Taft — Hartley, oraz faszystowskiej ustawy Mac Carana; bezprawnych aresztów; inscenizowanych procesów przeciwko przywódcom komunistycznym; militarystycznym zrywkom; przesiadkowaniu państwowych urzędników państwowych, przesładowaniu i uciśku oraz haniebnym sądom Lyncha nad Murzynami.

Osiągając faszystowski kurs opadł wraz ze swymi towarzyszami partyjnymi również i William Z. Foster. Był to zresztą tylko sygnał do rozpoczęcia prowokacyjnej ofensywy przeciwko dziesiątkom tysięcy komunistów amerykańskich, oskarżonych „o próby obalenia siły rządu USA”. Wraz z wprowadzeniem przez Truman'a osławionego „stanu wyjątkowego”, był to kolejny krok na drodze do faszystyzacji USA.

Kończąc to nader pobieżne omówienie przebiegającej pod względem światła i głębi pouczającej pod względem wniosków politycznych książki Williama Z. Fostera, nie należy zapominać, że autor jej ukończył w 1931 roku 70 lat, z tego zaś 50 lat poświęcił sprawie walki klasy robotniczej. W kształtowaniu się zaś jego światopoglądu, jak i w kierowaniu szlachetną bohaterską działalnością Williama Z. Fostera, decydującą rolę odegrała teoria Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina — rewolucyjna teoria zwycięskiej klasy robotniczej. K. R. Zawadzki.

*) (William Z. Foster. The Twilight of World Capitalism. N. York 1949.



TADEUSZ ORLEWICZ

KAPITALIZM — TO NĘDZA WSI

Jeszcze w roku 1929 w Stanach Zjednoczonych fermi biedniackie, stanowiące około 50 proc. wszystkich ferm w kraju, dawały przeszło 20 proc. ogólnej produkcji towarowej rolnictwa, reszta zaś przypadała na fermy średnie, wielkie i majątki obszarne. Te ostatnie, reprezentujące bardzo znikomą odsetkę ogólnej liczby gospodarstw rolnych, dawały w tym czasie 25 proc. ogólnej produkcji. W kilkanaście lat potem udział ferm małorolnych w produkcji spadł do 8 proc., natomiast 80 proc. całej produkcji rolniczej USA znalazło się w rękach wielkich towarzystw monopolistycznych i wielkich fermów.

W miarę postępującej koncentracji kapitału w rolnictwie obok ferm małych dostają się w dławienie państwa szalejącego wyzysku również fermy średnie. Proces ten usyła coraz większą ilość małych i średnich ferm poza obrót towarowy, skazując je na wegetację, w której kresu jest ostateczna zagłada. Odbierając nacisk monopolu, podatki, słaba wydajność gleby w gospodarce kapitalistycznej w ogólności, w szczególności zaś w gospodarstwach małych, opanowanie skupu i zbytu przez sieć lichwiarskiego pośrednictwa o wyraźnie monopolistycznym charakterze, kredyt na spekulacyjnych warunkach, to wszystko sprawiło, że w ostatnich latach na każde 1.000 gospodarstw co najmniej 300 padło pod miotłkiem likwidacyjnym, ponieważ nie mogły podoląć długom hipotecznym, a 100 na 1.000 musieło zmienić właściciela, ponieważ poprzedni ich posiadacz nie był w stanie uregulować należonych na wymiarów podatkowych.

W krótkim stosunkowo okresie w Stanach Zjednoczonych jeden milion ferm uległ likwidacji. Narasta obciążenie armii koczujących bezrobotnych, którzy przebiegają stanowiąc z południa na północ, w bezładnym poszukiwaniu „leba”. Około 70 proc. ludności wielkiej USA nie może wypracować dostatecznego zarobku dla siebie i dla rodziny.

Engels nazwał likwidację lat temu Francję klasycznym krajem drobnego rolnictwa. W tym klasycznym kraju drobnego rolnictwa

coraz gorzej i coraz trudniej żyć podstawowym masom chłopów na własnym kawałku ziemi. W roku 1892 Francja liczyła ogółem 5 milionów 700 tysięcy gospodarstw, w roku 1929 — niecałe 4 miliony, a w roku 1949 — już tylko i dokładnie: 3.033.000. Kiedy dziś patrzymy na strukturę wsi francuskiej, otrzymujemy taki obraz: majątki obszarne trzymają w swoich rękach 30 proc. ogólnej powierzchni uprawnej kraju, a małorolnicy i średniololnicy, których jest 25 razy więcej, siedzą na 22 proc. gruntów ornych. Oto jak podmywa koncentracja kapitału w rolnictwie stan posiadania podstawowych mas chłopów, jak likwiduje samodzielne gospodarstwa chłopskie i umniejsza ich powierzchnię.

Ceny towarów przemysłowych szybko rosną, a ceny produktów rolnych pozostają na dawnym poziomie lub wzrastają znacznie wolniej. Wskaźnik cen przemysłowych w połowie roku 1950 w porównaniu z rokiem 1938 (rok 1938 = 100) wyniósł 2.141, podczas gdy taki sam wskaźnik dla produktów rolnych dochodził zaledwie do 1.700. Ostatnie dane wykazują: wskaźnik cen przemysłowych — 2.600, wskaźnik cen rolniczych — 1.750. Nie też dziwne, że w magazynach fabryk francuskich pozostaje 30 proc. nie sprzedanych traktorów, że zakupy nawozów sztucznych zmalały w ostatnim półroczu o przeszło jedną trzecią, że równocześnie wzrasta zadłużenie rolnictwa, które na dzień 1 stycznia 1949 roku wynosiło 75 miliardów franków, a w dwa lata potem przez kroczyło już 200 miliardów.

Z nakazu władz amerykańskich obecnej Francji rząd Plevena, tak jak poprzednie rządy zdrady narodowej, importuje mięso z oceanu, podczas gdy rolnicy francuscy nie znajdują nabywców w kraju na swoją produkcję hodowlaną, importuje cukier z wielkich kompanii cukrowych USA, a zmniejsza uprawę buraka cukrowego na polach francuskich, sprząda tytoni amerykański, niszczy francuskie plantacje tytoniu, zarzuca Francję osławionym Coca-Colą, nakładając coraz dotkliwsze podatki na winnice południowo-francuskie.

Rosnie bezrobocie na wsi. Upada gospodarstwa małorolne i średniololne. Z opuszczonych gospodarstw dają biedniacy po pracę do miast, której jest jej coraz mniej i która jest coraz gorzej płatna, a gdzie obok luksusowych sklepów, zaważonych zleżałym towarami amerykańskimi, o krok jest nędza, gdzie panoszą się wszechwładnie amerykański „dobroczyńca”, polujący z uporem niebezpiecznego maniaka na miasto armatnie.

We Włoszech jest 28 milionów hektarów ziemi uprawnej. Z tego w rękach państwa znajduje się 17 proc. Kościół, największe obszary, sprawuje swoje rządy na 500.000 hektarów, wyciągając bez skrupułów jak najwyższe zyski z pracy robotników rolnych i rabunkowej gospodarki. Wielkie majątki i latyfundiści mają 47 proc. całego areálu uprawianej ziemi i należą do nielicznej garstki rodzin książęcych i obszarńskich, ongiś wernych sprzymierzeńców Mussoliniego, dziś — sojuszników chadaka, de Gasperi, zawsze wiernych kapitałowi i Watykanowi. 6 milionów hektarów, a zatem 22 proc. areálu, należy do bogaczy wiejskich. Na resztę gruntów zepchnięta została drobna własność chłopska, wielomilionowa masa ludności rolniczej.

Jej stan posiadania, i tak niezmienne niki, stałe się nadal kurczy, podmywany równocześnie przez dotkliwie, a we Włoszech bardzo jeszcze powszechne, stosunki feudalne lub semifeudalne i przez rosnący równocześnie nacisk kapitalistycznego prawa koncentracji. Obok 800 tysięcy gospodarstw średnich, których los jest równie silnie zagrożony przez kapitalizm jak gospodarstwa biedniackie, 1 milion 700 tysięcy zagród liczy sobie przeciętną powierzchnię uprawną nie większą od 0,6 hektara. Obok tej wielomilionowej masy na wsi włoskiej blisko 3 miliony ludności bezrolnej.

Tysiące hektarów leży w latyfundiach odległym, a tymczasem miliony chłopów nie mają kawałka ziemi pod uprawą, nie mają z czego żyć. 82 proc. ludności wsi nie dojadła. Ponad 3 miliony 500 tysięcy ludzi jest zarejestrowanych w gmminach komitetach dla biednych. Robotnicy rolni pracują zaledwie

100 dni w roku, otrzymując śludę godowe stawki.

Ostawiona „pomoc” USA pogłębiła i tak już rozpaczliwą sytuację podstawowych mas chłopskich. Plan Marshalla zmusił Włochy do wprowadzenia po wysokich cenach pszenicy amerykańskiej, chociaż pola włoskie mogłyby jej dosyć dać na potrzeby kraju. Sprawdza się do Włoch masowo pmarczenie z dyktando Kalifornii, chociaż powyżej apeniński sygnął zawsze z bogatych zbiorów tego owocu, stanowiącego dotąd poważną pozycję w handlu zagranicznym Włoch. Winnice upadają. Na wino nie ma zbytu, bo coraz trudniej o chleb. Z rządami reakcji i z pomocą Wall Street wrócił na półwysep głód, bezrobocie, faszizm, militarizm.

Z rządami Franco wrócił do Hiszpanii upadek całej gospodarki narodowej, a w tym przede wszystkim rolnictwa. W latach Republiki 5 milionów hektarów ziemi, dzierżawiali bezrolni, a nadto 500.000 hektarów rozdzielono pomiędzy małorolnych, bezrolną i małorolną, otrzymali również inwentarz, zarosło siewne, wysokie kredyty.

Z pomocą Hitlera i Mussoliniego, Bluma i Churchilla krwawy Franco obalił republikę robotniczą-chłopską. Odebrał chłopom ziemię, nagradzając ją reakcyjny kler, granadów i innych swoich współników w rozbój na żywym ciele narodu. Dziś w tym kraju jest 3 miliony 700 tysięcy bezrolnych chłopów. Jedynie 560 tysięcy znajduje zatrudnienie w warunkach czysto feudalnego wyzysku, 75 proc. ziemi hiszpańskiej należy do 150.000 obszarńskich. Z tego 75 procent władza obzarem 1 miliona 125 tysięcy hektarów. Ziemia i chleb dla podstawowych mas chłopów frankistowskiej Hiszpanii jest niedostępnym niemal luksusem. Brakuje chleba robotnikom. W roku 1945 wydawano na kartki 350 gramów chleba, w roku 1947 — 280 gramów, w dwa lata — 150, dziś niewiele ponad 100. Oto barometr głodu i nędzy ludu hiszpańskiego pod władzą faszystów, fałszywego psa imperializmu.

Oto obraz tragicznej sytuacji chłopów pracujących w ustroju kapitalistycznym.

Tadeusz Orlewicz

